



Michał Migar

**EROTYCZNY
pamiętnik masażysty**

Michał Migar

EROTYCZNY

PAMIĘTNIK MASAŻYSTY

© Copyright by Michał Migar & e-bookowo 2010

ISBN 978-83-61184-78-2

Wydawca: Wydawnictwo internetowe e-bookowo

www.e-bookowo.pl

Kontakt: wydawnictwo@e-bookowo.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości
bez zgody wydawcy zabronione

Wydanie II 2010

Fatum

Nazywam się Adam Tobuz i urodziłem się, gdzieś u źródeł Sanu. Cemu zaciemniam? Bo dziś jestem ozdobą mojej ojcowizny i nie chcę, by mi ktoś z powodu tego pamiętnika wypominał przeszłość.

Gdyby mi powiedziano, że popelnię na papierze w swoim życiu coś więcej niż wypracowanie z Kochanowskiego, z sześćdziesięcioma trzema błędami, które w siódmej klasie mojej szkoły, dawało mi nie najgorsze, bo piętnaste miejsce, to ja bym ze swojej strony, raczej uwierzył w to, w co przecież żadną miarą uwierzyć nie mogłem, że mój ojciec, przestanie pić, chociaż on rzucić picia wcale nie zamierzał, tak, jak ja, pod słowem, niczego w życiu nie zamierzałem pisać.

Bačkowa nahajka, której ślady po latach mydłem nie dało się zmyć, zniechęcała nie tylko do pisania. A gdyby matula część z tych, dla mnie przeznaczony wyrazów ojcowskiej miłości, nie przyjęła na siebie, to zapewne wyglądałbym, jak cętkowane, kacze jajo.

Nie dziwota, że często przemyślałem, jakby tu struć, ojca, po tutejszemu baćkę, na amen. W grę wchodziła trutka na szczury, wilcze jagody, atrament. Wilcze jagody były sezonowe, trutka za droga, atrament, dostępny wprawdzie, ale, jak tu zatrzeć ślady, prowadzące wprost do mnie, bo oboje ojce, tego do niczego nie używały.

W domu zostałem jedynakiem z woli boskiej, bo całą resztę rodzeństwa, powołała, ta sama wola, wcześniej, do siebie. Miałem jedyne serdecznego bracha Włodka, i gdyśmy tak z moim brachem grzeszyli w kułak za stodołą, Włodek mówił niezmiennie: „Masz ty, brachu, oj masz ty zaganiacza, fu, strach patrzeć!” Nic dziwnego, że nabrałem przekonania, że jestem jakimś zaprzańcem, a nie stworem boskim. A to i ojciec był tegoż zdania.

Rozpocząłem naukę w Technikum Mechanizacji Rolnictwa, w powiecie i postanowiłem w przyszłości postąpić na służbę bożą. Moją, uwikłaną w starowierstwo duszyczkę, na prostą, ku panu Bogu drogę, jał wyprowadzić proboszcz, nasz szkolny katecheta. Żadnych formalności mi nie czynił. Nauczył i pozwolił ministrantować. Dostałem od duchownego panczeny, które, na wszelki wypadek zakopałem, w żelaznej skrzynce po gwoździach, w sobie tylko wiadomym miejscu. Na wieść, że służę do mszy w katolickim kościele i się odszczepiłem od naszej wiary prawosławnej, ojciec chwycił za

nahaj, ale wrzasnąłem, że uderza w konstytucję, za co mu władza rękę po ramię utnie. Splunął za siebie ze trzy razy i wyniósł się do karczmy.

Po lekcjach, najczęściej zostawałem na trochę w bożym domu, posprzątałem, posiedziałem w ławie, czasem usłużyłem do ceremonii zaślubin czy pogrzebu. Chciałem służyć Bogu, ale i grosza potrzebowałem. Byle by zbiec przed pokusą grzechu wszetecznego i nie czyniąc ujmy detce, dać przystęp aniołowi. Widać było w tym moim postępowaniu coś na rzeczy, bo dostałem od duchownego również wieczne pióro, które schowałem wraz z panczeniami. Anielskie dary jednak się detce nie podobały. Słowa diabeł nie śmiałem użyć, palcem nie wytykałem. I tak wie się, o kogo chodzi. Zamiast dary zabrać, jeśli już tego koniecznie chciał, to on podburzył mojego bracha Włodka. Inaczej być przecie nie mogło. Wzbudził w nim srogą do mnie zawieść. Brach mój zdradził na wsi okropny sekret „wielgachnego”. Teraz na potańcówkach, nie mogłem się wprost odpędzić od dziewczuch, które potrafiły przyjeżdżać do nas z daleka, żeby się do mnie przytulać, piszczeć i srom mi robić tak dotkliwy, że z czasem przestałem w ogóle na potańcówki chodzić. To, i nie było wątpliwości, że maczał w tym palce detko, a wszystko dlatego, że przedwcześnie go zlekceważyłem, bo go nazwałem przy duchownym po biblijnemu, szatanem.

Tego roku zima srożyła się na dobre. Rzekę skuł lód, po którym, jak po lustrze, do powiatu i z powrotem mknęły dzwoniąc dzwoneczkami dziesiątki chłopskich sani. Wśród nich, wzbudzając głośne okrzyki zdumienia, z rozwianym włóczkowym szalikiem, jak torpeda, na moich anielskich, błyszczących panczenach mknąłem ja.

W tym dnia słupek rtęci spadł poniżej dwudziestej kreski. Po lekcjach ochędożyłem dom boży. Duchowny rzekł:

– Zostań dziś, Adamie u mnie. Zimno, do twojej wsi nikt nie jedzie. – Błysnął w uśmiechu, złotym zębem, którego mu zazdroszczono.

Podziękowałem dobrodziejowi.

Żona organisty, ze strzelistymi, jak wieże kościelne piersiami postanowiła uzupełnić mój niedobór kalorii, tak, jak się dolewa olej do traktora. Miałem jeść. Natarczywie się we mnie wpatrywała, zagryzała wargi.

– Wielebny kazali, żebyś szedł pod prysznic. Wcisnęła ręcznik.

Wlazłem. Przybytek, w życiu czegoś takiego nie widziałem. Ciuchy precz i dotykałem cudeniek. Wrzasnąłem pod strugą lodowatej wody i bryknąłem z łazienki. Baba, jakby czekała. Wbiła wzrok w moją odpychającą męskość.

Bryknąłem z powrotem pod kaskadę cieplej już wody. Ha, cudo! Zapach konwalii, w mydle.

Z chmur spadłem na ziemię. Szturchała mnie zimna ręka. Zza wodnej firany sterczała naga ręka gospodyni. Zmierzała do wielgachnej męskości.

– Coś cie? – wrzasnałem. – Powiem wielebnemu.

Jak groch o ścianę.

– Nie darmo gadali we wsi. Jak kłonica – mruzczała.

Oczy organiścichy jarzyły się bursztynowym blaskiem. Uciekać? Zimna ściana. Ręką go ucapiała. Wychynał ze szczeciny nieproszony na światło dzienne olbrzymi, nagi, naprężony, jak jakaś fioletowa maczuga.

„Spietra się” – przeleciało mi przez myśl. Tak, by było, gdyby była kobieta. Była detkiem. Była detkiem pewnikiem, bo i śmiałyby sięgać po wielgachnego, co nie był jej? Przestało chlapać.

– Odpuść, że mi, nie uchodzi pod dachem duchownego.

– A skądże.

– Sam diabeł ci go przyprowadził – powiedziała, oglądając z wypiekami na twarzy narzędzie szczególnych dla kobiety tortur. Tak przynajmniej wtedy o tym myślałem. I ciarki mi po plecach przeszły.

Jakbym słyszał swego ojca. Musieli o czymś wiedzieć, czegom ja nie wiedział. Oglądała go w całej ohydnej okazałości, wielkiego, jak zardzewiały skobel u wrót stodoły.

Sięgnęła krocza. Odnalazła wprawna ręką dwie uciekające kulki. Stała w ogniu, niczym żagiew pod kotłem w chlewni. Podbrzuszem przebiegły mi dreszcze. Wielgachny podnosił się i spadał, jak szlaban na przejeździe.

– A mnie byś ty sobie nie obejrzał trochę? – stęknęła. – Nałykałam się ja tych waszych męskich słodkości. Z wielebnym mi nie wyjeżdżaj, też człowiek.

Organiścicha rozerwała przy szyi bluzkę, i rzuciła się na ten, ów, mój szlaban i wepchnęła go sobie w szczelinę między piersiami. Stała przede mną na kolanach, twardymi cyckami ogarnęła wielgachnego, że skrył się jak kułak w wyrobionym cieście.

Widziałem nieraz piersi mojej matki, ale gdzie jej do tych. Miała ciemne, sterczące sutki. Po raz pierwszy zobaczyłem, że cyckami nie tylko karmi się dzieci. Nagle odchyliła się do tyłu, by ukazać tłuste, wysoko obrośnięte krótkim włosiem, rozwalone na boki uda.

Gołą rzycią siedziała na lakierowanym stołeczku. Nie siedziała. Jak ślimak wraz ze stołkiem pełzała w moją stronę. Na zydelku zostawiała wilgotny ślad. Palce mojej stopy wcisnęła między te rozłożone uda, pod kotkę, w gorące, śliskie siedlisko. Spomiędzy jej rozwartych kolan łypało na mnie tajemnicze, przekrwione oko otoczone wijącymi się czarnymi rzesami. Ze-

środkowałem całą swoją uwagę na tym podniecającym i przerażającym zjawisku. Niczego podobnego w życiu nie widziałem. Komuś złorzeczyła, stękała. Brykała nogami, chrupkała jak maciora, ruszała biodrami i wciąż nie zamykała przepastnego oka, jakby wabiła nim moją spęczniałą maczugę.

Dostałem dreszczy, ni to ze strachu, ni to z innej przyczyny. Wielgachnego znowu wejcowała spoconymi piersiami. To było coraz przyjemniejsze, o furę przyjemniejsze, niż to, co robiliśmy z moim brachem Włodkiem za stodołą. Potężna rozkosz drażyła mi krzyż.

Wziałem się na odwagę i dotknąłem jej cycek. Troskliwie je gładziłem. Wymykały mi się z rąk, więc je zażyłem sprytnym chwytem z pod spodu i zacząłem mocno miętosić. Bawiłem się nimi z coraz większą pasją widząc, jak kobieta wije się w jakichś cudownych, niewysłowionych mękach. Pocałowała moje ręce. Schyliła się. Kłęb mego sprężonego mięsa dotknął jej ust. Trysnął, aż się zachwiałem. Kołysała się w przysiadzie na palcach mojej stopy, wyprężyła się. Zarechotała i nagle ryknęła, jak zarzynane ciele.

Na czworakach pod razami bykowca, padając od uderzeń mężowskiego buta, jęcząc i błagając o litość, skryła się w głębi pomieszczeń. Kopnąłem się do ucieczki, ale czerwony na gębie organista był tuż. Uderzył bykowcem, jakby chciał przeciąć na pół. Uch! Bolało. Rąbał we mnie, jak tłuczkiem w wieprzowy kotlet. Leżałem przed nim bezbronny.

– Ja, panie, niewinny! – jęczałem.

Oszczędziłby mi dalszych lat życia, gdyby nie postać duchownego.

Na wyjaśnienia nie liczyłem. Łaski się nie dopraszałem. Ciuchy w garść, panczeny też, i na mrozie potykając się, padając i podnosząc, biegiem do rzeki. Naciągałem ciuchy na zorane od razów ciało. Więcej niż bólu, organisty, mrozu, a może i śmierci, bałem się baćki.

Dopadłem wyrastających wprost z lodu wiklin. Rzeka ciemna po obu brzegach środkiem lśniła uciekającą i ginącą gdzieś w poświacie księżycą wstęgą. Srebrnym, lodowym szlakiem, poturbowany i zniewolony, pomknąłem na darowanych mi przez księdza łyżwach. Kłębiły mi się czarne myśli i najgorsze przeczucia. Grzeszyłem w kułak, o czym wspomniałem, podobnie, jak chłopcy ze wsi, ale tylko mnie nachodziły myśli, że anioł za tym nie stoi. A jeśli nie anioł to, kto? Ojciec był pijakiem, ale głupcem być nie musiał. W pijanym widzie, dostrzegł widać stojącego za mną detkę.

– Insze dzieci klęczą u stóp najświętszych, ty u kopyt kosmatego – żartował w rzadkich u niego chwilach wisielczego humoru. Matka milczała, miała to w charakterze.

Próbowałem, odstąpić detkę, służąc do mszy. Nasłał na mnie wiedźmę i złoił bykowcem. Zresztą. Może ten „wielgachny” dla kobiet rozkwitłych jest

cymesem, a bykowcem bił mnie i ją za karę anioł? Nie na mój skołatany rozum to było.

Im bliżej chaty, tym mocniej ścisnął gardło strach. Niechby baćka był spity. Spałbym w stodole zagrzebany w ciepłym, fermentującym sianie.

Gnałem. W zwięzieniu rzeki cień mój zderzył się z drugim, niższym, wydłużonym. „Detko” - przemknęło mi przez myśl. Nie mniej groźne od bezcielesnego, okazały się cielesne wilki. Naliczyłem trzy. I choć mi życie było niemiłe, zdwoiłem prędkość. Byłem na lodzie nieosiągalny. Na skarpie wyrosły zaśnieżone chaty ze strużkami sinawego dymu. Ścigający kamraci detki, wsiąkli w czerni lasu. Pocieszenia nie było. Jasne okno chaty zwiastowało najgorsze. Ruszyłem do stodoły, ale w drzwiach chaty stanął baćka.

– Kto? – warknął. Kopniakiem nakierował mnie na sień.

– Psia jucho? – Chlasnął mnie otwartą dłonią w ucho. Cofnął się i spoglądał, to na swoją rękę, to na moją twarz. Przysunął wiszącą żarówkę do mnie i splunął z odrazą. Zauważyłem, że był tylko w koszuli, bez swoich długich gaci. Matka leżała na wyrku zupełnie bez sił, jakby ciężko zaniemogła. Jedna noga zwieszała się na podłogę. Gdy wszedłem zawstydzila się i z trudem okryła kołdrą. „Widocznie ją swoim zwyczajem napastowałem” – kołatało mi się we łbie.

– Zaprowadzi cię ten twój orczyk do grobu. Od urodzenia zwisał ci jak bat budząc zachwyty tylko położnej. Patrząc, dzieciarów naznoszą – zawyrokował baćka. Porównał mnie z nierogacizną. Moją biedną mamę obarczał winą, że wydała na świat dziwolągę i suponował, że dopadł ją w kartoflisku jakiś zwierz. Powtarzał to często po pijanemu i zgryźliwie rechotał.

Matka bosy wylazła z łóżka, coś narzuciła na grzbiet, zdjęła ze mnie wilgotne ciuchy. Nie zdradziła, że mi brak gaci i skarpetek. Na widok pleców jednak załkała.

– To tak! – ryknął baćka, w którym obudziła się nagle pijacka drażliwość. – Kto?

Milczałem. Organista sługa boży. Jak wytłumaczyć, że byłem ofiarą detki, a później anioła? Kto to zrozumie? Po prawdzie i ja tego nie rozumiałem. Napytałbym tylko nową chłostę. Ale ona była mi widać i tak sądzona. Baćka zdjął z drzwi splecioną z gumowych kabli nahajkę, której smak w równej mierze znaleźmy koń, ja i matka. Sparciała guma odsłaniała w wielu miejscach cieniutkie miedziane włókna. Przecinały skórę jak żyłtka.

Zakryłem twarz rękami, a ojciec smagnał mnie ostrzegawczo po łydkach. Matka chwyciła go pod kolana. Zdzielił i ją. Wiła się, jak pokutnica łykając gołym ciałem. Brakowało mi sił.

– Organista – wycharczałem.

– Organista?!– wrzasnął z niekłamanym zdumieniem. – Teraz ja mu wyrżnę. Baćka nie zapomniał mi odstępstwa od naszej wiary prawosławnej.

– Zakryjże cycki i rzyć! – ryknął na matkę. – Łachy! – Wskoczył na dwór i nie bacząc na noc, założył konia do sań. Do sań wrzucił widły i nahajkę.

– Tam wilki – ostrzegłem w nadziei, że poniecha zamiaru.

Lecieliśmy lodową wstęgą i tym razem księżyc świecił prosto w oczy. Baćka pokrzykiwał, złorzeczył, sanie łomotały, źle kuty koń ślizgał się i łapał równowagę. Dygotałem z zimna i bezsilnej rozpacz na myśl, co mnie teraz tam spotka.

Świsnęła nahajka raniąc koński zad. Wałach zarył kopytami. Obrócił spieniony pysk i łypnął złym, lśniącym okiem. Katapultował okute tylne kopyta wprost w siedzących za nim ludzi.

Ciemność

Leżałem okryty derką, ale ciepło nie było. Miałem pod głową miękką poduszkę, ale miękko nie było. W głowie żarzył się ból. Ciało odstawało od kości. Powieki, jak sklezione żywica, ani rozerwać. Puściły. Wokół ciemno. Może ja w grobie? Pochowali. Słyszało się o tym. Krzyk z pod ziemi, to boją się, że dusza potępiona tak krzyczy. Spocilem się.

– Mamo! – wyszedł z tego nie krzyk, tylko jakieś zardzewiałe skrzypienie. Strzyknęło w głowie.

– Żyjesz? – szept matki był ciepły i wilgotny. – Ojca będziemy grzebać. Przywieźli nieboszczyka ze szpitala.

– Żyję – snułem przez chwilę radosne nadzieje.

Oczy miałem otwarte, a matki nie widziałem. Ciemność czarna i bezdenna. Skądś sączył się monotony i pluskliwy szmer. Baby odmawiały antyfonę „Zdrowaś Mario, łaski pełna, Pan z tobą, błogosławionaś...” Wydawało mi się, że cały świat zamarł w grobowym śnie. Zalaatywało smrodem łojowych świec. Słodkawo cuchnęło padliną.

– To noc – wystękałem?

Długie milczenie. Czułem utkwiony w siebie wzrok matki.

– Jaśniutki dzień.

Zacisnąłem powieki do bólu i szybko rozwarłem. Raz, i drugi, żeby mogło się przetrzeć. Atrament. Mrok utkwiał mi gdzieś głęboko w głowie i nijak go stamtąd wywabić.

Zawylem. Koń-szatan zabrał mi wzrok. Zapaskudziłem łóżko. Smagnięty rozpaczą wyskoczyłem z wyra i noga uwięzła mi w pułapce. Wyciągnąłem przed siebie ręce. Uderzyłem w kłębowisko babskich ciał i w coś bardziej ohydnie miękkiego. Dłoń uwięzła w gorącym łoju, drugą, strzeliłem w czyjeś lodowate oblicze.

Izba wypełniła się dzikimi wrzaskami i przekleństwami. Bijąc i kopiąc, z furia, ochryple mruczając, wyrywałem się tym, którzy mnie trzymali, zataczałem się, padałem, biegłem gdzieś na czworakach i zanosilem się łkaniem. Uchwyciły mnie żelazne ręce i zadały zbawczy cios w tył głowy. Z błogim uczuciem senności, gdzieś się zapadłem.

Żyłem we śnie. Nie przerażałem się. Moje ciało. Właściwie go nie miałem i nie czułem.

Zdumiewałem się nieważkością. Unosiłem się nad rzeką miękko kierując rękami lot, nad piaszczystymi piargami, a na nich leżały opalające się dziewczyny. Czasem ich widok przysłaniały mi padające płatki śniegu. Nie wydawało mi się to dziwne. Nie wydawały mi się dziwne chmurki koloru fioleto i różowe pasemka mgły. Dziewczęta, śmiały się wesoło. Widziałem mego bracha Włodka, widać wcale żeśmy się nie pokłócili. Płynął pod wodą, jak czarny piźmowiec, a woda czyniła jego postać, jakby dłuższą. Płynąc falował, jak płaszczka, czasem ginał w złotych bąbelkowatych odmętach. Dziewczyny zoczyły go i piszcząc pokazywały sobie palcami.

Ukazywały mi się wysoko na niebie wieże kościelne. Czyściłem, stojące w szeregu kielichy i monstrancje, a wśród nich, również moje błyszczące panczeny.

Pod świętą figurą stała naga organiścicha, uśmiechała się do mnie, a mnie przez brzuch przeleciał znajomy dreszcz. Wypatrywałem jej potężnych piersi, ale ich nie miała. Wyciągnęła rękę i spostrzegłem, że jestem nagusieńki. Ktoś mnie szarpał za rękę i krzyczał mocnym głosem. „Ja ci karzę, na pana naszego, Chrystusa, Zbawiciela.”

Tak mogła się drzeć tylko Jewdokia, znachorka. Uwolniłem rękę z jej uchwytu i usłyszałem: „Wrócił do nas biedaczek.”

Niestety, wróciłem.

Wróciłem i moim marzeniem na jawie, była śmierć.

Znachorka wyrwała mnie ze snu, w którym pachniało konwaliami i maciejką. Drzewa, łąki i lasy miały kolory, a latanie dostarczało nieznanym wzruszeń. Wpędziła w ten mój czarny sen na jawie. Powieki miałem

jakby z ołowiu. Odczułem wstrząs, a potem niejasne pragnienie samouniżenia. Zrodziła się we mnie ogromna żądza śmierci. Po chwili mruczałem do miódookiego, który dowiódł boleśnie, że potrafi najlepiej. Poprosiłem go o pomoc w znalezieniu śmierci. Pomału chwytła mnie maligna.

– Detko, ja chcę umrzeć...

Czasem mi się jawił. Miał wtedy twarz organiścicy, jej męża, mego ojca lub konia. Pomykał, jak cień wilka.

Rozpacz zżerała moje serce. W życiu najważniejsza jest przyszłość, a moja wydawała mi się równie czarna, jak czarno miałem przed oczyma. Bezradność wobec życia doprowadzała mnie do szaleństwa, któremu z wolna ulegałem.

Żebra się zrosły, szczęki też. Z wyciągniętymi rękami odnajdywałem nieliczne domowe meble i sprzęty. Pięć kroków na wprost, cztery w prawo, dalej drzwi do sieni, próg, sień, wyciągnięte ręce, drabina na strych. Osiem szczebli, właz.

Stapałem na strychu, po ułożonych na obce pióro deskach. Podniesienie rąk. Udana próba odnalezienia trzeciej, poprzecznej krokwi. Dalej, aż do przecięcia się z inną, pionową belką. To właśnie tu, hak, na którym matka wiesza zimowe piernaty latem. Wolny, bo to dopiero wczesna wiosna. Ale go nie ma. Pewno o krokiew dalej. Jednak coś mi się poprzestawiało w głowie.

Przeraczkowałem poddasze. Była stara wysłużona maślenica przysypana w kącie kawałami ostrej blachy. Będzie zamiast stołka. Ręce lepiły się od krwi. Zawlokłem beczułkę. Wdrapałem się i natychmiast runąłem na strop strychu. Przez moment odechciało mi się umierać. Wyobraziłem sobie ze zbrunatniałą twarzą, sinym językiem wywieszonym w kierunku tego, co mnie znajdzie, zapewne matki, spoglądającego zbielełymi, jak cebule oczyma. Ale znowu stanąłem na chybotliwym szafocie, Wyciągnąłem rękę i nadziałem się dłonią na hak.

Teraz tylko sznur. Szorstki, nie gruby sznur. Tego i wódki w naszym domu nigdy nie brakło. Jestem panem swego losu. Uspokoilem się. Szło na Wielkanoc. Pomyślałem z nagłą o matce i zamiar odłożyłem na po świętach.

W święta matka otworzyła okno, żebym łyknął świeżego powietrza. Słońce lizało mi twarz. Wytrzeszczałem oczy. Jaśniej od tego nie było. Siedząc w krześle usnąłem. W miękkim, jak owcza wełna śnie, unosiłem się ponad wszystkim. Tak wyobraziłem sobie swoją śmierć. Lot trwałby bez końca i wciąż oglądałbym coś niezwykłego. Szybowałem wyżej, i gdy miałem pewność, że zaczyna się mój lot w nieznane, usłyszałem głos: „Nie martw się Adaś. Bierz ptaka. To szczygieł. Śpiewa. Lece.” Dzieciak wsadził mi w rękę małą drewnianą klatkę i już go nie było.

Centymetr po centymetrze, jak drogocenną szkatułkę, obmacywałem palcami darowiznę. Drzwiczki, zawlecзка z drutu, kawałeczek marchewki między drewnianymi szczebelkami. We wnętrzu miotał się przestraszony ptak. Widziałem go oczyma wyobraźni, był kasztanowy. Objąłem i przycisnąłem klatkę do piersi. Odmierzyłem kroki. Sięgnąłem po wypukłą okładkę książki, nagrodę szkolną, „Bajki Braci Grimm”, resztę wywaliłem na podłogę zrywając z przeszłością. Na półce postawiłem klatkę.

Czekałem na dzieciaka, dam mu w nagrodę bajki. Ze dworu powiało chłodem, chłopca nie było. Za mną brzęknęło, jakby gitara. Zaszleścił trzepot maleńkich skrzydełek i nieśmiałe kwilenie. Zaświergotał. Ptak zatrzepotał skrzydełkami nabierając śmiałości i wypełnił izbę kaskadą wibrujących treli.

Padłem na kolana i się mu kłaniałem. Detko przestał mnie napastować myślą o strychu, a hak porwali jego kamraci.

Za oknem chaty łomotały koła wozów, huczał silnik traktora. Kto żyw ruszał w pole.

– Co będzie z nami?– chlupała matka. – Będę za wyrobnicę. Trzeba oddać gospodarke w arendę.

Nie mogłem nic pomóc. Wieczorem cichcem zaskoczył do chaty młynarz. Poznałem po cienkim, skrzekliwym głosie i po zapachu zboża. Przyszedł z gościńcem. Matka usadziła go za stołem i zasłoniła okna. Młynarz przeszedł się po izbie, jak po swoich włościach. Stęknęło łóżko rodziców. Spróbował jego przydatność.

– Stare – powiedziała jakimś matowym głosem matka.

Na mnie młynarz nie zwrócił uwagi. Na wsi gadano, że niby jego żona Joanna i ja. Raz mnie przydybała za stodołą.

– A cóż ty stoisz, jak chuj na weselu? – powiedziała. Kazała oglądać piersi. Miała je pod bluzką bez stanika. Od razu trysnąłem w portki.

Było tego tylko na tyle.

– Wezmę od Damazowej ziemi w arendę. Dam ziarno, świnie i zapłacę podatki. Ziemię trza obrobić.

Na płycie zagwizdał czajnik. Dźwięczały talerze. Poczulem zapach rozlewanej gorzałki.

– Adaś mi nie pomoże – usłyszałem zrezygnowany głos matki.

– Sam sobie nieszczęścia napytał – powiedział obojętnie młynarz. – Trzeba by go, do jakiego domu dla kalek. Niechby coś nauczył się robić. Miotły pleść, albo, co.

– Wasze zdrowie Damazowa – młynarz wypił. – Ja tutaj nie po próżnicy. Teraz jesteście wdową, a w starym piecu diabeł pali – roześmiał się piskliwie. Szurnął krzesłem.

– Adaś słyszy – powiedziała płacząco matka.

– Fiu! Ale nie widzi. Obrabiać trzeba nie tylko ziemię Damazowa. Syn musi to wiedzieć. Chce jeść?

– Darujcie mi dzisiaj, Kazimierzu – poprosiła zdyszczonym głosem matka.
– Następnym razem.

– Jak chcecie, jak chcecie. Może wy, komu innemu dacie tę ziemię w arendę? – zagroził.

Wcisnąłem twarz w twardą poduszkę. Przed oczami miałem czerwień. Gryzłem z nerwów rękę. Udawałem, że śpię

– Niczemu ja nie winna – powiedziała matka tonem usprawiedliwienia.

– Ty mi chęci nie odbieraj – upomniał ją młynarz. Głośno sapał.

– Wypij, Damazowa!

Matka gwałtownie wrywała się młynarzowi. Coś upadło na ziemię. Sięgnąłem po łyżkę od kolacji.

– Uderzę go trzonkiem, jak ostrzem – pomyślałem

– Nie będzie ci źle ze mną Damazowa. Musiałem cię trochę przemóc, bo byś przecie nie dała. Widzę, że cię już wzięło.

Matka dyszała gwałtownie.

– Myślałem, że już po naszej umowie – usłyszałem głos młynarza. – Ale masz rozum. Zgasiłaś światło, to mnie musisz do łóżka zaprowadzić.

Wypuściłem z bezsilnych rąk łyżkę. Widać nie matka, lecz ja musiałem się bronić przed wariacją.

Jęknęło łóżko. Szeleściła zrzucana odzież.

– Zostaw koszulę – prosiła, ale już mniej stanowczo.

– Chowasz coś przede mną? Rzyć masz jak cegły. Potrzyj to Damazowa.

– Och! – jęknęła krótko. – Masz ty. Nie zrób mi krzywdy! Nie macaj, wstyd. Rany Boskie!

Zaczęli się ruszać bardzo szybko.

– Wyskakuj, Kazimierz! – powiedziała nagle twardo matka. Długo gwałtownie dyszała. – I zostaw trochę pieniędzy na lekarstwo dla Adama – dodała.

Przestali zwracać zupełnie na mnie uwagę. Jakbym nie istniał.

– Och! – krzyknęła znowu matka. Nigdy nie słyszałem jej równie podnieconego okrzyku. Pod ojcem zawsze żałośnie kwiliła i budziła we mnie współczucie.

– Och, przyjemnie! – powtórzyła. Odkrywała w sobie uczucie rozkoszy. Sapiąc i dysząc rozmawiali ze sobą urywanymi zdaniami.

– Dotrzymaj słowa, Kazimierz.

– Jak rzekłem.

– Dasz nam świniaka i jałówkę?

– Dam, dam – wybelkotał zapewne szczytując.

– Wyskakuj! W gałgan Kazimierzu! Mocz szmatkę!

Zamiast czerni miałem przed oczyma żółć.

Całe łóżko skrzypiało i drżało. Słyszałem szepty, stęki, westchnienia i pomruki. I to, co słyszałem, wystarczyło raz na zawsze bym stracił resztki chłopięcej wstydlivości i zapłonął bezwstydną ciekawością.

W plamę żółci, gdzieś głęboko z mózgu cienką strużką napływał coraz jaśniejszy fiolet. Przez moment jakbym widziałem zarysy złączonych ciał. Ileż bym za to dal! Ale to była moja imaginacja.

Rozległy się głośne plaśnięcia, jakby ktoś uderzał rozwartą dłonią o wodę. Znowu zacisnąłem dłoń wokół łyżki przysposobionej na nóż. Więc i on, jak ojciec bił matkę po piersiach. Ale ona wcale tym razem nie skowyczała. Wzywała na przemian imienia Boga i leżącego na niej mężczyzny, który ją gwałtownie wgniatał w stary materac.

Głośno aczkolwiek niezrozumiale zabrzmiał okrzyk młynarza:

– Hajda!

A zaraz po nim kobiety:

– O matko!

Przez chwilę po łóżku gibał się młynarz.

– Czy wiesz, kto chodzi po ziemi, a korzeń ma w ziemi? – usłyszałem jego zadowolony głos.

– Wdowa – odpowiedział niepytany i śmiał się.

Gwałtownie się poruszyłem, dając znak, że mogliby to już skończyć. Młynarz podniósł się z wyra i szurając naciągał spodnie.

– Jeszcze nie idź! – powiedziała chrapliwie z pożądaniem matka. – I bądź ostrożny.

– Niech będzie! – odpowiedział na szept kobiety.

Znowu zaskrzypiało łożo, jak niesmarowane osie u wozu. Słuchałem tego ze zdumieniem i lękiem. Nie mogłem uwierzyć w to, co stało się z moją matką.

– Ja muszę już! Muszę! – wyjęczała.

Nagle wszelki ruch ustał, jakby łóżko opustoszało.

Nie było mi już matki żal. Zgłupiałem do reszty. „Widocznie musiała ojca nienawidzić, skoro tak bezwstydnie bezcześciła jeszcze ciepłe po nim łóżko” – wytłumaczyłem sobie. Mimo podniecenia i strachu zmęczony zapadłem w drzemkę.

Rano matka wetknęła mi w rękę kubek z gorącą herbatą i dała chleb z pyszną kielbasą. Była dla mnie bardzo dobra i troszczyła się o wszystko.

– Nie będziesz jadł byle, czego – powiedziała i klepnęła mnie po kolanie.
– Jak spałeś? – W jej głosie zabrzmiała nuta dociekliwości.

–Dobrze. A ty?

Westchnęła, dając znać, że wie, iż w naszym domu nie da się ukryć potajemnych uczynków rozkoszy.

– Teraz on będzie naszym opiekunem – wyjaśniła.

Kobieta

W żniwa walnęły drzwi naszej chaty, wiedziałem, że stanął w nich mój chrzestny. Ten ci był moim przyjacielem.

– Podziękuj pani doktorce. Pozwoliła się przywieźć aż z powiatu. Jest na inspekcji z Warszawy – huknął tubalnie, sądził najwidoczniej, że prócz wzroku, postradałem słuch. – Zbada cię i zdecyduje, co robić dalej. Ty, chłopie, masz szczęście. Ja za pozwoleniem, będę tu...

– O niech się pan nie spieszy. Nim przejrzę wszystkie papierki ze szpitala, zbadam, przeprowadzę wywiad. Najmarniej zejdzie z godzinę – usłyszałem ciepły, młody, kobiecy głos.

– Będę więc za godzinę – tak uprzejmego chrzestnego nigdy nie słyszałem. – Rób Adasiu, co ci pani doktorka powie. W niej twoja nadzieja.

Serce mi łomotało, jak koła towarowego pociągu. Nie ja odleciałem stąd, lecz ona przyfrunęła do mnie wśród tych skrzydlatych postaci, które widziałem pnać się coraz wyżej w swym locie. Czy zwiastowała mi radosną

nowinę? Serce podeszło mi pod ściśnięte gardło. Nigdy jeszcze nie doznałem tak rozbieżnych uczuć na raz – nadziei i niewiary.

– Co to za śliczny ptak? – głos był jedwabisty, anielski.

– Szczygieł – wykrztusiłem i cicho gwizdnąłem. A ptak odpowiedział mi wysokimi, przyjaznymi trelami.

– Niesłychane – zachwyciła się. – Przepięknie śpiewa i zupełnie się nie boi. Czy on nie tęskni za wolnością?

– Gdybym go wypuścił, zginałby. Zadziobano by go – powiedziałem.

– Więc on nie potrafi żyć bez pomocy ludzi? – zdziwiła się.

– Zupełnie jak ja – powiedziało mi się.

Oczami wyobraźni widziałem śliczną kobietą twarzą pochyloną nad niepozornym śpiewakiem. Taka młoda i taka mądra.

Doktorka przysunęła zydełek do łóżka i wionął na mnie rozkoszny, zniewalający zapach. Od kiedy straciłem wzrok wyostrzyło mi się powonienie. Dostawałem mdłości, kiedy w domu grasowała i brudziła mysz.

– Leżałeś, Adamie, w szpitalu przez dziesięć dni w śpiączce – czytała lekarka z jakichś kartek. – Wstrząśnienie mózgu, uszkodzenie nerwów ocznych....

Z przerażenia otworzyłem usta.

– Czy masz bóle głowy?

– Nie, już nie. Ale nie widzę – powiedziałem ze zgrozą.

– Wiem. Postaram się pomóc. Opowiedz wszystko o sobie.

– Wszystko? – szepnąłem speszony i wystraszony? Niby żadnego łotrostwa nie popełniłem. Czy miałem jej jednak powiedzieć o przyczynach nieszczęścia? O tym, co mnie spotkało u księdza? Czy może o tym, że chciałem umrzeć.

Zapewne się uśmiechnęła, bo pogładziła mnie lekko po wierzchu dłoni.

– Czy miewasz halucynacje? O tym, co cię boli, jak śpisz? Czy masz zachwiania równowagi? Czy widzisz czasem jakieś jaśniejsze plamki? Zapiszę, zbadam i trafisz do Kliniki Akademii Medycznej. Czy jesteś kulturystą?

– Halucynacje? Ciągłe latam. Wszystko, co widzę ma niesamowite kolory. Najwięcej fioletu i żółci. Jak się boję, to czerwieni.

– To dobre znaki. Mogą świadczyć o pewnej ograniczonej aktywności nerwów wzrokowych. Teraz zakropimy oczy. Muszę rozszerzyć źrenice.

Wybałuszylem oczy i zrobiłbym dla niej wszystko, co by mi kazała robić, bo uwierzyłem jej bezgranicznie i nieodwołalnie. Była dla mnie panienką świętą od dzieciątka Jezus z obrazu w naszym kościele.

– A teraz stwierdzę ogólny stan zdrowia – poinformowała.

Usiadłem, zadarła koszulę i długo wsłuchiwała się w mój oddech. Miała ciepłe, aksamitne dłonie. Obmacała mi ramiona i szyję.

– Czy jesteś kulturystą? – powtórzyła pytanie

Wstydzilem się przyznać, że nie wiem, o jaką jej jeszcze ułomność chodzi. Kulturysta?

Położyła mnie na plecy lekko przyciskając i wsłuchiwała się w serce. Odwinęła koldrę odkrywając nagi brzuch, bo byłem bez kalesonów. Przytrzymałem jej rękę. Delikatnie, ale stanowczo odsunęła moją dłoń. Spociłem się nagle z przerażenia.

– Tam jest wszystko w porządku – zapewniłem.

Chciałem krzyczeć i błagać. Zapaść się pod ziemię, a jedynie zrobiłem się mokry. Przez głowę przeleciały mi myśli ponure i przerażające, odbierające zdolność mówienia. Tej delikatnej kobiecie gotowe pęknąć serce. Musi to być podług niewiast, ohydnie, wielki wielgachny. Organiścicha, choć miała chęć, to się go wystraszyła i nie śmiała. Doktorka obrazi się. Omdleje. Uzna, że spotkał ją gorszący, nieuprzedzony przypadek, niezasłużona zniewaga. Zostawi mnie swemu losowi. Komu by jednak przyszło na myśl, że wielgachny, może mieć coś wspólnego z oczami?

Nagle się groźnie uniósł i spęczniał do niebywalej twardości. Wiedziałem, że sterczy, jak wielka maczuga, że jest fioletowy, i jak stary porcelitowy talerzyk, pokryty drobną siateczką żyłek. Kpił sobie ze mnie podnosząc się i opadając. Mój los zależał od niej. W odruchu rozpaczy, chwyciłem się za głowę, a później wyciągnąłem w jej kierunku przepaszające ręce.

Spotkał mnie namiętny, ciepły, odwzajemniony uścisk. Usłyszałem. Westchnęła lub szlochała. Zapach perfum stał się ostry. Dalszy bieg spraw był poza mną. Czyny wyprzedzały myśli, jak błyskawica wyprzedza grzmot.

Łóżko zgrzytnęło pod ciężarem dwóch ciał. Spletliśmy palce. W przysiadzie, namiętnie dysząc i poruszając biodrami, zgarnęła wielgachnego do swojego, bardzo wilgotnego wnętrza. Wsuwałem się w coś bardzo miękkiego, rozkosznie ciepłego i głębokiego. Lecz wielgachny wszedł tylko do połowy swojej długości. Utknął na półmetku.

To przekraczało całą moją dotychczasową wiedzę, co robi mężczyzna z kobietą. Widziało się to i owo w lesie. Dziewuchy jęczały przygniecione przez jurnych kochanków. Rozkładały białe uda, pozwalały wnikać fioletowym grzybom i leżały spokojnie. Czasem dolatywały do nas, skrytych w krza-

kach, ich żalosne wzdychania i jęki. Żeby jednak to one ugniatały? Tegom nie wiedział. Do ostatniego razu z matka byłem w ogóle przeświadczony, że dla kobiety, to jedynie smutny i bolesny obowiązek.

Mozolnie torowałem drogę, bojąc się, że ją skrzywdzę, że rozsadzę gorące trofeum. Mój fiolet wnikał w jej czerwień. Z jej ust wydarło się głośne westchnienie. Syczała, pokrzykiwała, jęczała. Wyłamywała mi palce ze stawów u ręki. Doświadczała tortur, a jednak się pchała. Unosiła się i opadała, jakby bezwarunkowo chciała, bym dotarł do jej dna. Nie zniechęcało ją nic, aż osiadła, jak statek na mieliźnie. Zsunęła się do nasady wielgachnego. Rozparł się w niej, wypełnił po brzegi pulsujący sak. Sięgnął też czegoś twardego i gorącego. To było chyba właśnie to dno? A może fiolet sięgnął szkarłatu? Goniąc nieznane, rozchyliłem palcami tajemniczą, gęstą i mokłą gęstwinę. Szturchałem płatki okalające wielgachnego. Podskakiwała i skwierczała, jak jajecznicza. Przestraszony, przestałem.

– Rób mi to! Rób ze mną, co chcesz! Och, jak ja tego chcę!

Zgubiłem gdzieś przerażenie. Mój fiolet był pożądanym kolorem w jej gładkim brzuchu. Pojękiwała i pokrzykiwała cichutko podobnie, jak moja matka przywalona ciałem młynarza.

Więc one wcale nie muszą. Same tego chcą. Chcą pałki drażącej wilgotne wnętrze i wtedy dopiero konają z rozkoszy. Najchętniej zostawiłyby ją w sobie na stałe. Kochają być wypełniane, od wielkiego brzucha, aż po narbrzmiące cycki – rozjaśniło mi się w głowie.

Znęcała się zaciskając wokół wielgachnego krocze.

– Potrafią zadawać ból – dorzuciłem cegiełkę do nikłych doświadczeń.

Zakręciłem biodrami, by poluzować wielgachnego, tkwiącego w niej, jak serce dzwonu. Trudno wprost pojąć, co się ze mną działo. Zmieszały mi się wszystkie kolory. Zrozumiałem, że mogę dziewczynie uczynić coś cudownego, czego ona w tej chwili najbardziej pragnie. Odgięła się krzykiem uzewnętrzniając, co czuje. Lizła i miętoszyła w ustach moje sutki. Pogubiłem się w swoich doznaniach dokumentnie. Zdumiewało mnie to wszystko. Z rozkoszą gładziłem jej piersi podejrzewając, że są białe jak ser. Dziwiłem się, że mogą być tak niewielkie. Przy organiścichy, były jak śliwki przy dyni. Chyba jednak wołałem te duże, niemieszczące się w moich rękach, trochę większe, niż mojej matki, mleczne. Wpiła wolno we mnie paznokcie, a potem je cofała. Zupełnie jak kotka, gdy ucapa ją kocur.

Znieczulony rozkoszą, nie czułem bólu. Drżała. Dla jakiej przyczyny tak dygotała? Napierała na mnie budząc lęk, że się przebiję. Tańczyła, jak ogier na zadzie klaczy, krótko i szorstko. Wprost obdzierała mi wielgachnego ze skóry. Przyspieszała.

– Dobij! Rozrywasz! Boli! Oszaleje!

Przeraził mnie ten krzyk bólu, któremu przecież sama była winna. Ale uczucie narastającej rozkoszy zmusiło i mnie do coraz gwałtowniejszych ruchów. Szybko pojąłem nieznaną mi mechanizm kolejności postępowania. Przyciągałem ją i podnosiłem nad siebie, a ona spadała na mnie, jak młot kowalski na rozżarzone żelazo.

Mnie jednak też bolało. Brałem na niej odwet kołysząc mocno biodrami. W pachwiny spływały mi gorące, zapewne czerwone krople.

Nie uwolniła ze stalowego uścisku wielgachnego. Tryskał niestrudzenie ze zwielokrotnioną przez ucisk siłą. Dotknąłem u niej tego miejsca ze wzruszeniem i wdzięcznością. Miałem całe ręce skapane lepka ciągnącą się pianą.

Powiedziałem:

– Jest jasno.

Zerwała się, jak podbita piłka.

– Nie wszystko stracone – znowu była lekarzem. – Więc jednak są prześwity.

Oddaliła się i naląła sobie do miski wody.

Wyciągnąłem w jej kierunku dłonie. Przytuliła je do swoich rozpalonych policzków.

– Dzieciak. Jestem odrażająca.

– Nie! Jesteś pani różowa.

Pozwoliła mi dotknąć swojej twarzy, była mokra od łez.

– Rozewrzyj powieki – powiedziała. – Na świecie są czarodziejskie moce – wyszeptala. – Za parę dni będziesz w klinice – głos miała stłumiony i zawstydzony. – Jeśli potrafisz, zapomnij i wybacź!

Zapadłem w błogi sen. Znowu byłem aeronautą. Zieleń wydała mi się bardziej soczysta, a błękit bardziej przyjazny. Nawet słońce nie miało koloru czerwieni. Tym razem ziemi nie zamierzałem opuścić. Wchłaniałem zapach, który pozostawiła po sobie. Poznałbym go, między stu tysiącami innych zapachów.

Powrót do życia

Dobre wieści ludzi przyciągają. Miałem jechać do Warszawy, więc jestem kimś. Szpital powiatowym przydawał powagi, a dopiero stolica.

– Wyleczą, to i w mieście zostanie. Łepkiego mam chłopaka – prawil chrzestny.

Zajechał ambulans. Naschodziło się wielu.

– A ptak, zabierasz, Adam? – to był głos mego wybawcy.

– Nie! – wzruszyłem się. – Przetrzywasz go dla mnie? Prowadź do chaty. Dałem mu panczeny, pióro i książkę.

– Coś ty? Dajesz mi?

– Chcesz być moim brachem?

– Niech będzie!

Musiało być coś w tym na rzeczy, bo w klinice leczenia nie zaniechali. Zostawili mi nadzieję i przebąkiwali o zabiegach i operacjach, najlepiej w Moskwie, albo w Szwajcarii. Gadka, jak o spacerze w kosmosie. Nie mogłem na nic liczyć. Zmienić bieg spraw mógł tylko cud. Zwiastowała go doktor Elżbieta.

– Skończ kurs masażu leczniczego. Zapłaci klinika. Dostaniesz służbową kawalerkę i będziesz się leczył.

Nie zdołałem opisać radości. Matka zaliczyła ze mną marszrutę do miejsca nauczania. Wzrok zastąpiłem kserograficzną mapą pamięciową. Na kursie poznałem masaż holistyczny, chiński, shiatsu, reiki, aromaterapeutyczny.

Występowałem raz w roli podmiotu, innym razem, jako czeladnik.

– Na plecki – powiedziała starsza instruktorka. Zrobię ci holistyczny brzucha i ud.

Matka ucięła gacie i zrobiła takie pumpy do kolan. Masażowi zawsze kibicowało parę instruktorek i uczennic. Przeżywałem gehennę. Wielgachnego bandażowałem do uda. Nie uszedł uwadze moich prześladowczyń. Łapałem uchem podniecone szepty, opinie, westchnienia.

– Rozluźnij się – mruknęła masażystka. – Nie bądź, jak deska.

Łatwo powiedzieć. Wielgachny wyrywał się z okowów.

– Ooo! – nie wytrzymała któraś z kursantek.

– Koleżanka trafiła na nie właściwy kurs – odezwała się szorstko moja instruktorka. – To nie jest burdel.

Byłem jej wdzięczny. Nagle i mnie opuściły niezdrowe emocje.

– Będziesz perłą w koronie – stwierdziła później na boku wykładowczymi, pani Joasia, biorąc mnie pod rękę i lekko ściskając. – Nauczę cię tantryckiego masażu seksualnego. Zrobimy to w wolnej chwili, najlepiej po